

Wakacje z mułłami – cz. 12

19 stycznia 2008

Wreszcie, pod wieczór pojechaliśmy na stację. Wyjścia na perony były zamknięte na klucz, rozłożyliśmy się więc z bagażami w poczekalni. Tam zaczepił nas jakiś apodyktyczny, ogromny, brodaty facet w czerni, wyglądający na fanatyka, sądząc po tym jak odnosił się do Krzyśka. Do mnie w ogóle się nie odzywał, gdyż dla pobożnych, kobieta w towarzystwie mężczyzny oficjalnie nie istnieje, więc nie należy się do niej bezpośredni zwracać. Chyba wziął mnie za jakąś dziennikarkę albo szpiega, bo podejrzliwie pytał co ja też takiego piszę w moim notatniku. Potem trochę złagodniał i wdał się z nami w rozmowę.

Powiedział, że jest świeżo po ślubie i wiezie żonę i jeszcze trzy kobiety z rodziny na pielgrzymkę do drugiego najświętszego miejsca w Iranie, grobowca Imama Rezy w Maszhadzie. Jego żona była chyba najbardziej opatuloną kobietą, jaką widzieliśmy w Iranie. Oprócz czadoru nosiła jeszcze czarne rękawiczki i skarpety, tak, by ani centymetr grzesznego ciała nie wystawiał obcych mężczyzn na pokuszenie. Facet usilnie namawiał Krzyska, abyśmy również i my tam pojechali, a dostąpiwszy duchowego oświecenia nawrócili się na prawdziwą wiarę. Krzysiek nie przyznał się, że jest ateistą, co byłoby zupełnie niezrozumiałe, albo obraźliwe, ale udawał chrześcijanina i wdał się z nim w dysputę religijną, która skończyła się, gdy na stwierdzenie, że Chrześcijanie pójdą po śmierci do piekła odparł, że to nieprawda, bo dobrzy znajdują się w niebie, a źli w piekle, tak samo jak dobrzy i źli Muzułmanie. To ochłodziło misjonarskie zapędy fanatyka, który spuścił z tonu i zrobił się uprzejmy. Ja się oczywiście nie wtrącałam, ale poczęstowałam towarzyszek naszego rozmówcy pistacjami.

Wreszcie, na 10 minut przed odjazdem wypuszczono nas na peron i jakoś znaleźliśmy nasz wagon i przedział. Jak to dobrze, że

nauczyliśmy się rozpoznawać perskie numery. Wagon jest bardzo czysty, korytarz wyłożony bieżnikiem, a w przedziale też jest perski dywanik. W życiu nie widzieliśmy tak czystego pociągu, nawet na Zachodzie. Niektórzy pasażerowie rozkładają własne dywany i przed wejściem do przedziału zdejmują buty, jak przed wejściem do swego domu. Za towarzyszy podróży mamy dwóch facetów. Pociąg odjechał punktualnie co do minuty, o siódmej wieczorem, do celu ma dojechać jutro koło południa. Wyglądamy przez okna na czerwone słońce zachodzące we mgle nad gajami palm daktylowych.

Wkrótce po odjeździe przyszedł do nas jakiś oficjał i poprosił obu facetów o zmianę przedziału ze względu na fakt, że jestem dla nich obcą kobietą i nocleg w tym samym przedziale, co ja, jest niedozwolony, mimo, że jestem z mężem. Ani oficjał, ani ci faceci nie mówią po angielsku i początkowo zrozumieliśmy, że to ja mam się gdzieś przenieść, żeby im nie przeszkadzać. Bardzo mnie to zdenerwowało i dość stanowczo zaprotestowałam, że nie chcę być rozdzielona z mężem. Spowodowało to atak furii jednego z facetów, który aż tupnął nogą i syknął „yes!!!!”, chyba jedyny wyraz jaki znał. Wyglądało to jak usiłowanie skarcenia kaprysów małej dziewczynki, która upiera się przy czymś absurdalnym. Kiedy wreszcie wyjaśniło się, że to oni muszą wyjść, a nie ja, odetchnęliśmy z ulgą.

Zamiast nich, dano nam młode małżeństwo. Facet miał około trzydziestu lat i był policjantem, jego żona miała dwadzieścia cztery lata i pracowała, jako nauczycielka w szkole podstawowej. Chyba mówiła i czytała po angielsku, ale nie chciała z nami rozmawiać, najwyżej od czasu do czasu tłumaczyła jakieś słowo, choć widać było, że całkiem dobrze nas rozumie. Albo wstydziła się, że słabo zna język, albo, co jest bardziej prawdopodobne, nie chciała być mądrzejsza od męża, który znał tylko kilka słów. Oboje wracali do domu, gdzieś na północ od Teheranu.

W przedziale zastaliśmy poczęstunek: dwie dwulitrowe butelki wody mineralnej, torebki herbaty i dwa termosy, jeden z

wrzątkiem, a drugi z wodą z kostkami lodu, a także cztery półkilowe paczki jakichś dość nieciekawych mordoklejek. Niezadługo, ku naszemu zdziwieniu przyniesiono nam również gorącą kolację w styropianowych samolotowych pojemnikach, z butelką Fanty do popicia.

Po kolacji policjant postawił nas przed faktem dokonanym, zajmując z żoną dolne łóżka i zostawił nam wspaniałomyślnie wspinanie się po drabinkach na górne. Oczywiście o jakimkolwiek, choćby nawet częściowym rozebraniu się nie było nawet mowy. Opatulona w chustę, w płaszczu, džinsach i skarpetach wylądowałam w najgorętszej części przedziału, na koi szerokości dokładnie moich bioder, tak, że trudno było się nawet obrócić.

Gdy kładliśmy się spać klimatyzacja szła na całego, mimo, że nie było wcale gorąco i temperatura była do wytrzymania. Za to nad ranem włączyli dla odmiany ogrzewanie, mimo że nie było bardzo zimno i nasz przedział przypominał wnętrze pieca, a że okna nie dało się otworzyć duchota była trudna do zniesienia. Pot lał się ze mnie strumieniami, ale nie mogłam się rozebrać, ani nawet zdjąć chusty z głowy i prawie wcale nie spałam. Krzysiek, z właściwą sobie przekorą, przespał noc jak zabity, choć to on najczęściej miewa kłopoty ze spaniem.

Gdzieś nad ranem chciałam pójść do ubikacji, ale ku mojemu zdziwieniu, okazało się, że wszystkie są pozamykane na głucho. Przeszłam przez kilka wagonów, znajdując wszędzie to samo, cały pociąg był głęboko uśpiony, łącznie z tymi, którzy mieli klucze do klozetów. Wróciłam z powrotem do naszego wagonu i stanęłam na chwilę w korytarzu, aby nieco ochłonać z gorąca i frustracji. Dojeżdżaliśmy akurat do jakiegoś większego miasta i ku mojej radości w korytarzu zjawił się jakiś oficjał z pękiem kluczy. Niestety, były to klucze do drzwi wagonu, a na moje pokazywanie zamkniętej ubikacji wzruszył tylko ramionami i pokazał mi na migi, że on klucza nie ma. Przeklinając cały świat wróciłam do przedziału i wlałam po ciemku na górę.

Jakieś pół godziny później, gdy w korytarzu zaczął się ruch, wyszłam znowu. Miałam nadzieję, że miejscowi być może znajdą kogoś z kluczami do WC, bo przecież nie tylko ja byłam w potrzebie. Tymczasem ludzie gonili między wagonami i klęli. Stanęłam bezradnie przy jednym z wychodków. Jakiś młody człowiek, dobijał się przez dłuższą chwilę do drzwi, aż wreszcie puścił soczystą wiązanekę (chyba) i odszedł. Po chwili jednak wrócił i zaprowadził mnie aż do wagonu restauracyjnego, gdzie znalazł otwarty WC. Wróciłam do naszego smrodliwego przedziału już w nieco lepszym humorze.

Niestety, wszystkie tutejsze kobiety (łącznie ze mną) po prostu śmierdzą. Trudno się temu dziwić, bo wylewają litry potu w przymusowych płaszcach i czadorach. Nie ma na to rady i nawet obfite stosowanie dezodorantów nie wystarcza. Wygląda jednak na to, że jest to akceptowane i nie oznacza bynajmniej braku higieny osobistej. My obie w przedziale, spędziłyśmy noc w nabożnych szatach, tak aby nasi mężowie nie zobaczyli przypadkiem włosów, czy ramion cudzej żony.

Rano przynieśli nam śniadanie: placki, masełko, trochę jakiegoś sera i filiżankę gorącej herbaty. Posiliwszy się, mogliśmy obserwować widoki za oknem. Niestety, nie były ciekawe, monotonna pustynia, góry w oddali, od czasu do czasu jakieś pola uprawne i z pozoru na wpół wymarłe czy opuszczone miejsciny i wsie. Wszystkie otoczone wysypiskami śmieci, z tysiącami plastikowych toreb noszonych przez wiatr. Tutaj postęp w opakowaniach, nieodmiennie równa się katastrofie ekologicznej o rozmiarach wprost niewyobrażalnych dla ludzi z Zachodu, gdzie wysypiska są dobrze zorganizowane i zarządzane i znajdują się w mało widocznych zakątkach.

Przespaliśmy postój w świętym mieście Kom i zbliżaliśmy się do Teheranu. Krajobraz zrobił się zupełnie niesamowity! Jak okiem sięgnąć goła, bez jednego drzewka czy krzaczka równina, zryta była głębokimi na kilka do kilkunastu metrów wykopami, z których wydobywano glinę do produkcji cegieł. Między tymi wielkimi dziurami w ziemi, stały piece cegielniane z wysokimi

jak wieże kominami z cegieł oblepionych gliną. Zapewne większość z nich opalana była gazem, ale służyły chyba równocześnie za spalarnie śmieci, bo obok nich leżały stosy plastikowych toreb, a nieco dalej przejechaliśmy obok jakiegoś składowiska, gdzie były ich całe góry. Trudno powiedzieć, co gorsze, czy hektary wypełnionych niezniszczalnym plastykiem śmieciowisk, czy palenie odpadków w temperaturach zbyt niskich do rozłożenia toksyn i wypuszczanie trujących dymów w powietrze.

Pociąg zwolnił, za oknem pojawiły się biedne i zaniedbane budy i domy i zaczął się Teheran, dwunastomilionowy moloch, położony w wąwozach i na zboczach gór Alburz. Nad miastem wisiała ogromna, przeraźliwie czarna czapa smogu i nie przypominało ono prawie w niczym miast, które już zwiedziliśmy w Iranie. Zamiast historycznych budynków, kopuł i minaretów, we wszystkie strony ciągnęły się szare, klockowate budynki w stylu Europejskim. Na ulicach typowo irańskie pandemonium samochodów, motorków i pieszych.

Przed stacją obstało nas od razu ze dwudziestu taksówkarzy i każdy z nich łapie za nasze plecaki i próbuje nas sobie wyrwać. Kiedy wreszcie zdołaliśmy wsiaść do jednej, poprosiliśmy o zawiezenie do hotelu Naderi, który rzekomo miał być niezbyt daleko od dworca. Tymczasem jeździliśmy i jeździliśmy, kierowca gubił się parę razy, kręcąc się w kółko po ulicach i zaułkach, raz nawet jadąc jednokierunkową ulicą pod prąd, podczas kiedy inni kierowcy trąbili, klęli i grozili, aż wreszcie dotarł na miejsce.

Hotel mieścił się w dobrze zachowanym budynku z lat 20-tych, czy 30-tych, nad sławną na cały Teheran cukiernią i kawiarnią. Wystrój całego kompleksu nie zmienił się wiele od tamtych lat, nasz pokój był obszerny i wygodny, z widokiem na dziedziniec z ogrodem i fontanną, ale staroświecki i wytarty.

Po przyjeździe najważniejsza była gorąca kąpiel, mycie zębów, pranie całej garderoby, bo tak byliśmy zmięci i przepoceni. A

że nawet oknem nie mogłam wyjrzeć bez pełnego okrycia, nie pozostało mi nic lepszego, niż pójść się przespać, aby wydychać z siebie trudy podróży. Krzysiek tymczasem wziął się za pranie.

Pokój był bardzo nasłoneczniony i mój płaszcz na szczęście obciekł i wysechł tak szybko, że z biedą mogłam go ubrać, gdy wstałam po godzinnej drzemce. Kąpiel i odpoczynek postawiły nas z powrotem na nogi na tyle, że mogliśmy zabrać się za niezbędne do załatwienia sprawy. Przede wszystkim trzeba było wymienić pieniądze, następnie znaleźć jakieś biuro turystyczne, które zarezerwowałoby nam bilety kolejowe na wyjazd na północ, a także skontaktować się z biurem podróży, z którym Krzysiek załatwił przez Internet rezerwację biletów na samolot do Armenii.

Pech chciał, że był to piątek i wszystkie urzędy, biura i sklepy zamykały się wcześniej. Znaleźliśmy biuro podróży, w którym siedziało dwóch facetów, ale oświadczyli nam, że jest już zamknięte i żeby im nie zawracać głowy. W pobliskim kantorze, wciąż jeszcze otwartym, nie mieli już gotówki, tak, że musieliśmy wymienić nasze dolary u ulicznego „konika” po trochę gorszym kursie.

Jedyną pociechą był obszerny salon Internetowy tuż obok, otwarty na okrągło, święto nie święto. Prowadzony był bardzo sprawnie przez grupę młodych ludzi, mówiących nieźle po angielsku i chętnych do pomocy zagubionym turystom. Oprócz Internetu, oferowali również tanie połączenia telefoniczne i z ich pomocą mogliśmy wreszcie pogadać z rodziną w Australii i w Polsce i dać im znać, że żyjemy i mamy się dobrze. Potem sprawdziliśmy e-maile i wyszukaliśmy na stronie irańskich kolei połączenie kolejowe do miasta Zandżan, gdzie planowaliśmy pojechać na kilka dni. Przy zamkniętych biurach podróży jedyną alternatywą byłaby wycieczka na dworzec, na którą zdecydowanie nie mieliśmy ochoty.

Noc nie była zbyt przyjemna. Nasz pokój był duszny i gorący,

otwarliśmy więc szeroko okno, przez które natychmiast wleciała ogromna chmara komarów, które nie dość że nas pogryzły, to jeszcze tak głośno bzyczały nad uszami, że o porządnym spaniu nie było mowy. Na dodatek, na dziedzińcu kilka kotów wyśpiewywało przeraźliwie swoje nocne serenady, a w środku jacyś faceci gonili po korytarzu, kłócąc się i wrzeszcząc do trzeciej nad ranem. Alkohol jest tu niby zakazany, a zachowywali się jak po solidnych kilku głębszych....

Wedle rozkładu mieliśmy pociąg przed 12-tą w południe. Planowaliśmy pojechać z Zandżan w góry, do ruin „Takht-e Sulejman” (tronu Salomona), starożytnego miasta nad jeziorem w kraterze wygasłego wulkanu, przenocować, zatrzymać się w drodze powrotnej w Zandżan, a po 2-3 dniach wrócić do Teheranu.

Rano przenieśliśmy bagaże do hotelu „New Naderi”, w sąsiednim zaułku, względnie nowoczesnego budynku z wczesnych lat 70-tych, gdzie recepcja zgodziła się je dla nas przechować przez kilka dni. Zabraliśmy ze sobą tylko minimum podręcznego bagażu w niewielkim neseserze.

Trzeba było złapać jakąś taksówkę na stację. Większość tutejszych przewoźników, to właściciele prywatnych aut, którzy dorabiają sobie wożeniem pasażerów na łebka. Tutejsi wsiadają do pierwszego lepszego samochodu który się nawinie i zatrzyma i my też tak zrobiliśmy.

Kierowca okazał się ponurym, nadpobudliwym typem, nie wzbudzającym wielkiego zaufania. Nie mówił słowa po angielsku i wiózł nas po jakichś zakamarkach i zaułkach, tak, że wydawało się, że chce nas wywieźć nie wiadomo gdzie. Na wszelki wypadek powiedziałam Krzyśkowi, żeby miał w pogotowiu scyzoryk. Jak większość tutejszych kierowców nie używał w ogóle kierunkowskazów, jeździł po wszystkich możliwych pasach jezdni, zajeżdżając drogę innym samochodom i wciskając się „na chama” między auta na sąsiednich pasach.

Dojechaliśmy jednak jakoś cali i zdrowi. Przeszliśmy przez ulicę na plac przed dworcem, płosząc po drodze szczura wielkości dorodnego kota, który dał nura z rynsztoka do kanału.

Na stacji odszukaliśmy okienko z szyldem „Information” by potwierdzić godzinę odjazdu i zapytać gdzie kupić bilety. Niestety, dziewczyna która tam siedziała знаła tylko parę słów po angielsku i zupełnie nie sposób było się z nią porozumieć. Jedynie czego dowiedzieliśmy się, że nie ma w ogóle naszego pociągu, a pierwszy jadący w kierunku Zandżan będzie dopiero za pięć godzin! Po co w takim razie ogłaszają nieaktualny rozkład jazdy na Internecie!!!?? Mogliśmy jeszcze próbować pojechać autobusem, ale nie uśmiechało nam się szukanie właściwego dworca (w Teheranie jest ich kilka), bez pewności, że autobus odjedzie wcześniej niż pociąg. Nie pozostało nam nic lepszego niż przebiedowanie następnych pięciu godzin na zatłoczonym dworcu.

W poczekalni doszedł do nas przyjazny młody człowiek, mówiący nieźle po angielsku, który pomógł nam kupić bilety w oddzielnej kasie dla obcokrajowców. Rozmowa z nim trochę nam urozmaiciła dłużące się w nieskończoność czekanie.

Zdziwiło nas że cały dworzec był nieskazitelnie czysty, tak czysty że można by przysłowioowo „jeść z podłogi”. Tu i ówdzie, w strategicznych punktach stało po kilku facetów w uniformach, z ogromnymi szczotko-mopami. Wyglądali, jak mała armia sprzątaczy, bo stali prawie na baczność. Kiedy jakieś dziecko upuściło loda rzucili się go sprzątnąć i w oka mgnieniu podłoga została wyczyszczona do połysku.

W końcu przyszedł czas do wsiadania. Aby dostać się na perony trzeba było przejść przez specjalne furtki, gdzie sprawdzano bilety, podobnie jak na lotnisku. Nam kazano dodatkowo iść do biura policji, gdzie skontrolowano nasze paszporty. Perony są niedostępne dla pasażerów, którzy są wypuszczani z poczekalni dopiero na 5 minut przed odjazdem.

Nasz pociąg był równie świeży, czysty i dobrze zorganizowany, jak dworzec. Składał się z nowoczesnych wagonów z siedzeniami typu samolotowego, przy każdym rzędzie siedzeń, osobny, czyściusieńki kosz na śmieci, wyłożony różowym plastikowym workiem, a w obu końcach wagonu, nad drzwiami telewizory. Chociaż podróż nie była daleka, bo zaledwie dwieście pięćdziesiąt kilometrów, dostaliśmy lekki poczęstunek składający się z kartoniku soku i dużej „mafinki”.

Koniec części dwunastej

Autorzy: Teresa & Krzysztof

Źródło: [Alternatywa](#)